

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Specjalny Magazyn Nowości Konfekcyi dla Pań
firma **ADOLF CZOPP, Lwów, Plac Kapitulny 3**
naprzeciw kościoła Katedralnego

poleca na sezon jesienny i zimowy bogato usortowany zapas w nowościach:
Płaszcze teatralne, futrzane i prawdziwe krymskie, gotowe wierzchy do futer,
kostiumy angielskie, bluzki, halki i. t. p. Ceny wabiąco niskie.

Józef Bezdek tapicer i dekorator Lwów, Pańska 15.
poleca się Szanownej P. T. Publiczności

MAURYCY LEBLANC.

WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

15

(Ciąg dalszy).

— Dziękuję panu za to. Przypuśćmy jednak, że pan uniknie ich kłó. Co potem? Jak pan dostanie się do zamku? Drzwi są massywne, okna zakratowane. A przytem kto pana tam poprowadzi? Jest tam ośmdziesiąt pokoiów.

— Tak, lecz ten pokój o dwóch oknach na drzem piętrze?...

— Znam go, ale w jaki sposób pan go znajdzie? Jest tam troje schodów i cały labirynt korytarzy. Choćby dał panu kłębek nici do kierowania się nim, mimoto zgubiłby się pan.

— Niech pan idzie ze mną — zaproponował z uśmiechem Beautrelet.

— To niemożliwe. Przysięgam matce przyjechać do niej na Południe.

Beautrelet wrócił do przyjaciela, u którego znalazł gościny i zaczął czynić swe przygotowania. Pod wieczór, gdy już szykował się do odjazdu, przyszedł niespodzianie Valmeras.

— Chce pan mego towarzystwa?

— Czy chce?!...

— A więc dobrze! Towarzyszę panu. Tak, wycieczka ta kusi mnie. Sądzę, że nie będziemy tam się nudzili, a bawi mnie to, że jestem wmieszany do tej sprawy... A przytem obecność moja może nie będzie zupełnie zbyteczna. A to, proszę, jako zadatek mego współpracownictwa.

Pokazał duży, ciężki, zardzewiały klucz.

— I klucz ten otwiera...? — zapytał Beautrelet.

— Małą galeryę w poprzecznym murze, opuszczoną już od kilku wieków a której na szczęście nie pokazałem swemu lokatorowi. Wychodzi ona na pola, a właściwie na skraj lasu...

Beautrelet przerwał:

— Oni znają to wyjście. Człowiek ten, za którym szedłem, tedy musiał dostać się do parku. Mniejsza z tem, sprawa jest niezwykła i my ją wygramy. Działać jednak należy oględnie!

...W dwa dni potem do Crozant zjechał cygański wózek, zaprzężony w wychudłego konia, którego właściciel otrzymał pozwolenie ulokowania się na końcu miasteczka w opuszczonej szopie. Oprócz właściciela, którym był Valmeras, na wózku tym przyjechało trzech młodych ludzi, którzy podejmowali się wyplatania trzciną krzesel; byli to Beautrelet z dwoma kolegami z Janson. Przebyli tam trzy dni, oczekując odpowiedniej nocy i kręcąc się w okolicy parku. Pewnego razu Beautrelet dostrzegł tajemne przejście. Było ono zbudowane między dwiema, tuż przy sobie stojącymi ścianami i zakryte kupą gruzów, na których rosły gęste, kolczaste krzaki.

Czwartej wreszcie nocy niebo pokryło się grubymi, czarnymi chmurami i Valmeras postanowił rekognoscyjną wycieczkę, z której można by się wycofać w razie niesprzyjających okoliczności. Wszyscy czterej przeszli przez mały las. Potem Beautrelet wczuł się między krzaki, o które podrapał sobie ręce i podnosząc się powoli, włożył klucz do zamka. Ostrożnie przekreślił go. Czy drzwi o-

tworzą się bez wysiłku? Czy z wewnętrznej strony nie zamyka ich zasuwa? Popchnął je i drzwi rozwarły się bez zgrzytu, bez szelestu. Był w parku.

— Jest pan tam? — zapytał Valmeras — proszę poczekać. A panowie niech strzegą drzwi, by nie przecięli nam odwrotu. Przy najmniejszym szmerze jedno gwizdnięcie.

Wziął za rękę Beautreleta i zapuścili się w gęstwinę drzew. Gdy doszli do głównego trawnika, znaleźli przed sobą wolniejszą przestrzeń. W chwili tej z za chmur wyszedł księżyc i oświecił zamek z licznymi ostreimi, wieżyczkami. W oknach nie było żadnego światła. Wszędzie cisza. Valmeras ścisnął rękę swego towarzysza.

— Cicho.

— Co takiego?

— Psy... widzi pan...

Rozległ się pomruk dzikich psów. Valmeras zagwizdzał lekko. Do stóp jego w kilku podskokach dobiegły dwa czarne cienie.

— Oba pieski... leżcie tu... dobrze... nie ruszajcie się... warować...

Zwrócił się do Beautreleta:

— A teraz naprzód. Jestem już spokojny.

— Zna pan dobrze drogę?

— Znam! Zbliżyliśmy się do terasy.

— A potem?

— Przypominam sobie, że na lewo, w miejscu gdzie terasa panująca nad rzeką wznosi się aż do poziomu okien parteru, znajduje się jedna okiennica, która źle się zamyka i którą można otworzyć z zewnątrz.

I rzeczywiście gdy tam dotarli, okiennica ustąpiła pod szarpnięciem. Valmeras dyamentem wyciął szybę i przekreślił klamkę. Jeden po drugim weszli do środka. Teraz byli już w zamku.

— Pokój, w którym jesteśmy — rzekł Valmeras — znajduje się na końcu korytarza. Dalej mamy wielki westibul, ozdobiony posagami, a na końcu jego schody, wychodzące na korytarz w pobliżu pokoju, zajmowanego przez pańskiego ojca.

Postąpił krok naprzód.

— Idzie pan?

— Tak, tak.

— Ależ nie, pan nie idzie... Co się panu stało? Schwycił go za rękę. Była ona lodowata; Valmeras spostrzegł, że Izidor przykucnął na podłodze.

— Co się panu stało? — powtórzył.

— Nic... to przejdzie...

— Lecz przecież...

— Boję się...

— Boi się pan!

— Tak — wyznał naiwnie Beautrelet — to nerwy moje słabną... nieraz udaje mi się opanować je... lecz dzisiaj milczenie... wzruszenie... A przytem od czasów tego ciosu nożem sekretarza... To wkrótce przejdzie... O, już przechodzi...

Zdołał wreszcie podnieść się i Valmeras wyprowadził go z pokoju. Przeszli przez korytarz omackiem i tak pocichu, że jeden nie spostrzegł obecności drugiego. Słabe światło oświecało westibul, do którego zmierzali. Valmeras wysunął głowę. Była to nocna lampka przy schodach na stoliku, który można było rozpoznać przez liście palmy.

— Stać! — szepnął Valmeras.

Koło lampki znajdował się jakiś człowiek na czatach ze strzelbą w ręku. Czy widział ich? Bardzo możliwe. W każdym razie musiało go coś za-

niepokoić, gdyż przyłożył broń do ramienia. Beautrelet padł na kolana za jakąś wielką rośliną i nie drgnął nawet, z sercem jakby skrępowanem w pierśsiach.

Zwolna milczenie i cisza uspokoiły człowieka na czatach. Opuścił broń, pozostał jednak zwrócony w stronę krzewu. Upłynęło dziesięć, potem piętnaście strasznych minut. Przez okno na schodach zaczęło przenikać światło księżyca. Nagle Beautrelet zauważył, że światło to posuwa się niepostrzeżenie i zanim minie nowy kwadrans, będzie mu padało prosto na twarz. Krople zimnego potu spłynęły mu po twarzy na drżące ręce. Przerazenie jego było tak wielkie, iż myślał już powstać i uciekać... Przypominając jednak sobie, że Valmeras jest tutaj, poszukał go oczyma i stanął jak osłupiały, ujrzał bowiem, a raczej odgadł, że Valmeras osłonięty roślinami i posagami, posuwa się w ciemnościach. Znajdował się już przy końcu schodów na wysokości tego człowieka. Co on zamierza uczynić? Przejść tamtędy? Ruszyć samemu, by uwolnić więźnia? Czy zdoła to uczynić?

Beautrelet nie widział go już, miał tylko wrażenie, że ma się coś stać, coś, co milczenie nawet coraz cięższe i straszniejsze przeczuwa również.

I nagle mignął jakiś cień, rzucający się na człowieka na czatach, gasnąca lampka, odgłos walki... Beautrelet pośpieszył tam. Dwa ciała tarzały się po płytach westibulu. Chciał się nachylić, usłyszał jednak jęk, potem westchnienie i jeden z walczących podniósł się i wziął go za rękę.

— Prędko... Chodźmy.

Był to Valmeras.

Przeszli przez schody i wstąpili na korytarz drugiego piętra, wysłany dywanem.

— Na prawo — szepnął Valmeras — czwarty pokój na lewo.

Wkrótce znaleźli drzwi tego pokoju. Jak tego oczekiwali, więzień był zamknięty na klucz. Musieli stracić pół godziny na wyłamanie zamka. Wreszcie weszli do środka.

Po omacku Beautrelet znalazł łóżko. Ojciec jego spał.

Obudził go ostrożnie.

— To ja, Izidor... i mój przyjaciel... nie bój się niczego... wstań... ani słowa...

Ojciec ubrał się, lecz przed wyjściem szepnął:

— Ja nie jestem sam w zamku...

— Ach! Kto? Ganimard? Holmes?

— Nie... przynajmniej ich nie widziałem.

— A więc?

— Młoda panna.

— Z pewnością panna de Saint-Veran.

— Nie wiem... widziałem ją kilka razy z daleka w parku... wychylając się z swego okna, widzę jej okno. Dawala mi znaki.

— Wie ojciec, gdzie jest jej pokój.

— Tak, na tym korytarzu, trzeci na prawo.

— Pokój niebieski — szepnął Valmeras. — Drzwi są podwójne, mniej będziemy mieli kłopotu.

W istocie jedna z połów drzwi wkrótce ustąpiła pod ich naporem. Ojciec Beautrelet podjął się uwiadomienia młodej panny.

W dziesięć minut potem wychodząc razem z nią z pokoju, rzekł do syna:

— Miałeś rację... panna de Saint-Veran.

Zeszli we czworo. Na dole przy schodach Valmeras zatrzymał się i pochylił nad leżącym czło-